

Wanda Przybylska
78-100 Kołobrzeg
ul. Unii Lubelskiej 37/4

AW II / 2366

14. kwietnia 1940 roku z matką i starszym bratem znalazłam się w transporcie, kierunek-Siemipalatyńsk Cojca wcześniej aresztowało NKWD. Był posterunkowym i zginął prawdopodobnie w Ostaszkwie (Nam udało się przeżyć w strasznych warunkach pełnych sześć lat. Dokument na wyjazd do Polski otrzymała matka 11 marca 1946 roku. Była to karta repatriacyjna, wydana przez Polsko-Radziecką Komisję Mieszana do Spraw Ewakuacji. Do czasu wydania tego dokumentu posiadaliśmy obywatelstwo rosyjskie, gdyż po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem gen. Sikorskiego odebrano nam polskie i narzucono obce. Dla mojej matki wtedy liczył się nawet taki dokument ,gdyż była po wyroku Crok więzienia za 20 dag lepioszki z pyłu mącznego. Pracowała wówczas po dwanaście godzin na dobę w Mielkombinacie. Zarządzono dokładną kontrolę osobistą, w wyniku czego trafiła na proces pokazowy do sądu ,który uznał ją winną kradzieży i skazał na rok więzienia). Nam z bratem groził dom dziecka, którego jednak cudem uniknęliśmy. Mama miała znajomego milicjanta, do którego zwróciła się o pomoc. Ten doradził nam zmianę miejsca zamieszkania "my nie takich przestupników nie iszczem" i was tożę nie budiem iskat'" Zamieszkaliśmy bez zameldowania w innej dzielnicy Siemipalatyńska - Zana-Siemiej , przy ulicy Dżambuła 123 u Kazacha, gdzie mieszkali już trzy Polki. Kiedy odbywała się tragiczna dla Polaków wymiana dokumentów na obywatelstwo sowieckie, mama szła do urzędu z bijącym sercem. Udało się ! Otrzymała paszport. Gdy w marcu 1946 roku utworzona została Polsko-Radziecka Komisja do Spraw Ewakuacji , trzeba było z koleżki udowodnić swój polski rodowód. Pomogło jakieś zaświadczenie ubezpieczeniowe i korespondencja z rodziną. Kto nie udowodnił pochodzenia polskiego, nie mógł powrócić do kraju. Zdarzały się i takie przypadki. W tej sprawie bardzo nam pomogła przewodnicząca Komisji -pani Maria Łęczycka, dzięki której wielu Polakom zesłanym do Siemipalatyńska udało się otrzymać kartę repatriacyjną. Pani ta uczyła historii w polskiej szkole i była osobą bardzo cenioną przez Polaków. Wiosną 1946 roku przed Świętami Wielkanocnymi znaleźliśmy się w transporcie do Polski. Słów brak na opisanie emocji i radości związanych z powrotem do kraju. Wprawdzie wracaliśmy nie na swoje, to znaczy ,nie do miejsca, skąd nas wywieziono ,ale jednak do Polski.

Mieliśmy nadzieję spotkać się z rodziną ,z bliskimi ,za którymi bardzo tęskniliśmy, zwłaszcza mama. Ja w momencie powrotu miałam jedenaście lat ,brat był o trzy lata starszy, mama miała czterdzieści dwa lata. Na granicy Rosjanie przeprowadzali bardzo szczegółową kontrolę dokumentów. Zabierali wszystkie świadectwa pracy (trudowaja książka i inne) i już nie zwracali. Dlatego matka nigdy nie mogła uzyskać dokumentu, potwierdzającego wypracowane lata na Syberii, chociaż pracowała tam najpierw w kołchozie od świtu do nocy, a potem w różnych zakładach pracy po dwanaście godzin na dobę w warunkach "radzieckiego komfortu" przy trzydziestostopniowych i więcej mrozach. Zmarła 1974 roku jako osoba bardzo schorowana i wyniszczona przeżyciami.

Kiedy znaleźliśmy się na granicy radziecko-polskiej, zapamiętałam płacz ,okrzyki radości, modlitwę ,oraz słowa "nad nami Bóg i pod nami Bug". Polska wydawała mi się tym wyśnionym, wymarzonym krajem. Zapamiętałam sobie smak pierwszej kromki polskiego chleba. Do dziś lubię sobie czasami zjeść taki kawałek postnego chleba, a wtedy nawet, gdy kładłam się na pościeli w wagonie, ssałam go jako najwspanialsze delicje. Masła nie znałam zupełnie, toteż smarowanie nim chleba uznawałam za bezcelowe pozbawianie smaku i zapachu.

Wówczas wszyscy napotkani ludzie wydawali mi się wsapaniali, czułam tę więź z każdym ,kogo zobaczyłam już za rosyjską granicą. Zachwycałam się również przyrodą-rechotem żab ,których tam nigdy nie widziałam. Inaczej wszystko to postrzegała mama i starszy ode mnie brat. Najbardziej ich irytowali rosyjscy żołnierze. "Co oni tu robią w Polsce ?"pytała mama brata i powoli zaczynała się przyzwyczajać i do tego widoku, który ciągle przywodził jej na myśl tych, co zabrali ojca. "Wy jedzcie k swojemu mężu" mówili ,gdy nas zabierali na Sybir.

Granice rosyjsko-polską przekroczyliśmy 19 maja 1946 roku. Wjechaliśmy do Chełma, następnie był Lublin i Łódź. Wszędzie na większych stacjach czekaliśmy po kilka dni. Tak też było w Łodzi.

Mama spotkała tu przypadkowo swoją najbliższą rodzinę -matkę i siostrę. Jednak na stałe nie zatrzymaliśmy się w tym mieście. Ciocia dała nam adres brata mamy ,który mieszkał na Ziemiach Odzyskanych.

I tak ,bodajże 6 czerwca znaleźliśmy się na dworcu w Gryficach w woj. szczecińskim, wtedy -Zagórze. W PURze otrzymaliśmy instrukcję, jak dotrzeć do wsi, gdzie mieszkał wujek oraz jakąś doraźną pomoc finansową. Do miejsca przeznaczenia szliśmy pieszo sześć kilometrów. Ja niosłam worek sucharów ,matka z bratem jakieś szmaty-stara

pościel oraz strzępy futra ,które nam służyło jako legowisko na Syberii, a potem w wagonie. Powitanie było radosne.

I tak rozpoczęło się nowe życie już w Polsce.

Ogólnie, to co zastaliśmy na ponemieckiej gospodarce, odbieraliśmy jako kraj mlekiem i miodem płynący, nabiał, owoce ,warzywa, drób, wypieki domowe- o tym na zesłaniu mogliśmy tylko marzyć. Na wsi byliśmy krótko-niecałe dwa lata, ale w mojej pamięci, pozostał ten czas jako dobry, bo syty, w otoczeniu życzliwych ludzi ,wśród pięknej przyrody. Mama pewnie to wszystko inaczej widziała. Nie czuła się gospodynią , tęskniła za własnym domem, do którego już nigdy nie wróciła , a był to dom wybudowany cztery lata przed wybuchem wojny. Odczuwała również brak męża , ojca swoich dzieci. Szczególnie ręki ojcowskiej brakowało bratu, który jako dorastający chłopiec sprawiał mamie większe kłopoty. Wkrótce przenieśliśmy się do miasta. Tu mama prowadziła gospodarstwo domowe swojej siostry mieszkającej w Gryficach wraz z rodziną.

Mieszkaliśmy wspólnie w dużym domu i cały ten okres był dla nas przystosowywaniem się do nowych warunków życia i szkoły.

W Rosji skończyłam trzy klasy szkoły podstawowej, toteż miałam lepiej opanowany język rosyjski w mowie i piśmie. Z języka polskiego musiałam nadrabiać zaległości ,ale nie sprawiało mi to większych trudności. Krok po kroczeniu uczyłam się poprawnie mówić i pisać. Miałam wspaniałych nauczycieli , a moja wychowawczyni polonistka ,gdy mówiłam ,że muszę schodzić do miasta ,delikatnie zwracała mi uwagę -do miasta można pójść ,a schodzić tylko po schodach.

Gdy ukończyłam szkołę podstawową i zdałam egzamin do liceum, mogłam się popisywać na lekcjach rosyjskiego znajomością tego przedmiotu.

Z drugiej jednak strony najbardziej dokuczliwe było dla mnie to ,że w swoim życiorysie musiałam zmienić zawód ojca. Pisałam ,że jestem córką chłopca małorolnego ,że mój ojciec zginął na wojnie, a losy wojenne rzuciły mnie na teren Związku Radzieckiego. Dziś mogę już to sprostować, ale jestem już na emeryturze i mój życiorys nie będzie nikomu potrzebny. Najbardziej bolała nad tym mama ,która również zdawała sobie sprawę z tego ,że córka granatowego policjanta miałaby zamkniętą drogę do zdobycia każdego zawodu w PRL.

Nigdy nie mówiłam nikomu o swoim zesłaniu ,ani o przeżyciach doznanych tam. Gdy w roku 1957 znalazłam się na wiecu w Krakowie i poraz pierwszy oficjalnie usłyszałam o "sprawie katyńskiej",

zareagowałam bardzo spontanicznie i od tej pory, jak tylko miałam okazję, informowałam każdego, kto mnie o to zapytał. Nie mogłam znieść dyskusji, która wypaczała prawdę historyczną obciążając tą zbrodnią Niemców.

Nie mogę zapomnieć choroby mojego brata na zesłaniu. Chorował na tyfus i wydawało mi się, że tego nie przeżyje. Gdy już minął kryzys i wiadomo było, że będzie żył, mama go zapytała przez okno baraku, "co ci przynieść?". Zatoczył słabymi rączkami koło, co oznaczało bułkę. Mama wtedy sprzedała ostatnią sukienkę i gdy sięgnęła do kieszeni, by kupić tę bułkę, okazało się, że pieniędzy nie ma. Ktoś ukradł. Wtedy chciała się utopić w Irtyżu.

Inne moje przeżycie z lat zesłania też mocno zapadło mi w pamięć, gdy mama miała iść do więzienia, a my z bratem mieliśmy być oddani do "dietdomu" (polskiego domu dziecka chyba jeszcze nie było). Mieliśmy sobie zapamiętać, że jesteśmy brat i siostra i nigdy nie dać się rozłączyć, poza tym mieliśmy pamiętać o tym, że jesteśmy Polakami i gdyby mama zmarła, mieliśmy się za wszelką cenę wydostać z Rosji. Wszystkie te "instrukcje" dawała mama bratu, ale ja to pamiętam doskonale.

Dziś, kiedy aktywnie działam w Społecznym Komitecie Pomocy Polskim Dzieciom z Kazachstanu, wydaje mi się, że los tych dzieci mógł być moim własnym losem.

W Rosji mam wielu znajomych, którzy chętnie zaprosiliby mnie do siebie, jednak odczuwam lęk, że gdyby się tam cokolwiek stało podczas mojego pobytu, mogłabym się o pomoc zwrócić jedynie do Boga. Wiem, że tam człowiek jest pozbawiony wszelkich praw.

Boję się ~~nowiej~~ dłuższych podróży. Ciągłe słyszę miarowy stuk kół wagonów i gwizd lokomotywy i jeżeli gdzieś wyjeżdżam, wydaje mi się, że nie wcześniej wrócę do domu, jak za sześć lat, o ile wogóle wrócę.

Myślę, że pobyt w ZSRR nie tyle zmienił moją psychikę, co miał na nią ogromny wpływ. Dziś nie oburza mnie Rosjanin, handlujący rosyjskim barachłem, o ile znajdzie się na to jakiś nabywca. Oczywiście nie mam na myśli mafii, tylko tego, kto tu przyjechał "za chlebem". Jestem dla ludzi potrzebujących opieki życzliwa i chętnie udzielam pomocy, bo zapamiętałam sobie, że i mnie, jako dziecku, też tam pomagano. Lubię rosyjską poezję, chętnie też czytam Dostojewskiego, bo w nim widzę klucz do poznania Rosji. Ciągłe mnie ten temat intryguje, ale widzę też i różnice między Polakami i Rosjanami. Mają kompleksy w stosunku do nas. W ich

myśleniu jesteśmy zawsze „panami”.

Moje przekonania religijne nie zostały tam podważone ,choć szkoła, do której chodziłam, oznaczała się walczącym ateizmem. Matka nas zawsze uczyła pacierza ,obchodziliśmy Święta Bożego Narodzenia, wspólnie śpiewaliśmy kolędy. Zapamiętałam sobie również modlące się rosyjskie babuszki przed ikonami ,podtrzymywanie przez nie tradycji Świąt Wielkanocnych (Woskriesienije), może dlatego ,że obdarowywano mnie wtedy jajkami. Pamiętam nawet, jak z przejedzenia się dostałam ataku konwulsji ,a mama myślała ,że to padaczka. Z głodu zjadłam naraz dwa jajka na twardo i wiadomo ,jaki był rezultat. Chorowałam też na malarię ,tyfus i czerwonkę, byłam bliska śmierci ,a jednak przetrwałam. Wszystkie te przeżycia miały niewątpliwie ogromny wpływ na moją psychikę. Obecnie, gdy spotykam się z Sybirakami i każdy stara się po kilka razy opowiadać to samo ,myślę ,że i ja w miarę starzenia się zapamiętam sobie tylko to ,co przeżyłam w ciągu tych sześciu lat na "niehumanitarnej ziemi "choć postaram się ,żeby było inaczej.

Na zakończenie chciałabym jeszcze zwrócić uwagę na podziały Polaków na obczyźnie. Wiąże się to z takim wspomnieniem :kiedy po utworzeniu się Armii Andersa powstawały w wielu miejscowościach stołówki zbiorowego żywienia dla Polaków ,miało to miejsce również w Siemipalatyńsku. Mama dowiedziała się ,że można tam dostać talerz gorącej zupy. Pozawijała nas w szmaty ,bo to było zimą i przeprowadziła przez Irtysz do miejsca ,gdzie znajdowała się dopiero co zorganizowana stołówka. Niestety ,pani kierująca wydawaniem posiłków zwróciła się do mamy ,że "owszem ,to jest stołówka dla Polaków ,ale tylko dla rodzin oficerów, a pani jest żoną policjanta ". Nie muszę komentować jak bardzo byliśmy rozczarowani.

Mama już za progiem stołówki wycierała łzy ,a my z bratem nie mogliśmy zrozumieć ,dlaczego nas odesłano i nie nakarmiono.

Dziś już wiemy ,że taki podział jest typowy dla Polaków ,może nie wszystkich ,ale jednak zdarzają się takie przypadki ,które potem przez wiele lat przy każdym wspomnieniu ranią serce.

Imphyloka

© ARCHIWUM HISTORICUM